

Marreni W. Stowko skrytyce  
Listów A. E. Adyńca Piotra Chmie-  
lowskiego.

(Bibl. Warsz. 1878, X).





SŁÓWKO O KRYTYCE

LISTÓW A. E. ODYŃCA

PIOTRA CHMIEŁOWSKIEGO.

PRZEZ

*Waleryą Marrené.*

Gdyby mnie kto zapytał co to jest krytyka i żądał kategorycznej odpowiedzi, opartej na tego rodzaju pracach, tak gesto w literaturze naszej rozsianych, przyznaję, że byłabym w niemałym kłopotcie. Czytając bowiem wiele bardzo recenzji, łatwo zrozumieć można osobiste gusta tego lub owego recenzenta, a jeszcze więcej jego idee, tendencje, wreszcie obóz lub koteryą literacką, do której należy. Ale właśnie z tych powodów nie łatwo dojść istotnej wartości krytykowanego utworu.

Po większej części daremnie szukalibyśmy w nich zasad estetycznych lub etycznych, które służyłyby za sprawdzian wartości prac branych pod rozbiór; daremnie szukalibyśmy nawet sumiennego rozbioru, uwzględniającego cudze stanowisko, a nadewszystko tej miary, coby przedmiotom nadawała rzeczywiste znaczenie i według widzimisię, fantazyi chwili lub co gorzej, koteryjnych względów, nie podnosiła do potęgi słabostek, albo nie strącała do rzędu marnych prochów—rzeczy poważnych.

Że nie jest to tylko moje osobiste zdanie, ale że podziela je wiele umysłów poważnych, świadczy o tém oprócz innych głosów, ostatni „List do Nieznajomego,” Kraszewskiego, umieszczony w Kłosach w Nr. 689, oraz wyczerpujący artykuł o Krytyce w sierpniowym zeszytcie Ateneum, w których to recenzentom naszym czynione są te same zarzuty.

Ztąd wypływa, że jeśli krytyk posiadamy mnóstwo, krytyków za to na palcach policzyć można. Albowiem na nazwę krytyka zasługuje ten najpierw, kto potrafi racjonalnie motywować swoje zasady i postawiwszy się na gruncie autora, wykaże braki lub dodatnie strony jego utworu, porówna rezultat z założeniem, oceni tak przymioty jak wady na szali sprawiedliwości, i dopiero porównawszy je, sąd wyda.

Wprawdzie sprawiedliwość, bezstronność i t. p., są to absoluty, które wedle wcielenia swego ulegać muszą modyfikacyom, które każdy wedle indywidualnej skali i temperamentu rozumieć. Przecież pozostaje tu jedna stanowcza zasada, iż krytyk obowiązany jest stanąć na gruncie autora, a swego podsuwać mu nie powinien. W razie przeinaczenia tego warunku, każdy sąd byłby tylko czczą gadaniną, która nawet

pomimo trafnych pojedynczych uwag i świetnych pomysłów, z powodu zwichnięcia podstawy rozumowania, nie może przynieść istotnego pożytku ani autorowi ani czytelnikom.

Celem jednak krytyki jest właśnie ten pożytek; osiągnąć go można za pomocą przekonania, przekonać zaś można tylko za pomocą racjonalnego dowodzenia, a dowodzenie krytyka będzie dopiero przekonujące, jeśli ten najprzód postawi się na stanowisku autora, chociażby stanowisko to było według niego niewłaściwe, a nawet niedorzeczne.

Dopiero z tego punktu oceniwszy utwór, krytyk ma prawo robić zarzuty zasadom autora w imię swoich własnych, i walczyć z nim na polu idei.

Każdy osobnik ma swoje koło myśli, swoje poglądy, swój sposób pojmowania i czucia, stanowiący jego indywidualność. Jakiem więc prawem krytyk może wymagać, by autor patrzył jego oczyma, rozumował na jego sposób, wybierał przedmiot jaki mu się podoba lub tworzył wedle recepty ułożonej w jego głowie?

Metoda podobna jest czysto fantazyjna, a jako taka nie doprowadza do żadnego rezultatu. A jednak indywidualność bywa często tak silnie rozwinęta u krytyków, iż spotykamy się nieraz z sądami opartymi na podobnych motywach. Często bardzo zarzucają oni autorom, że wybrali ten a nie inny przedmiot, że obrobili go w ten a nie inny sposób. Spotykamy się z tym faktem codziennie, przywykliśmy do niego jak do jednej z plag, trapiących naszą literaturę. Są jednak wyjątkowe wypadki, w których protest przychodzi pod pióro w imię sprawiedliwości.

Tak się rzecz ma z krytyką *Listów z podróży* A. E. Odyńca, napisaną przez p. Chmielowskiego. Studya p. Ch. drukowane od pewnego czasu w łamach rozmaitych czasopism, zyskały mu uznanie. Przywykliśmy widzieć w nim pisarza, którego zdanie można podzielić lub nie podzielić, ale z którym liczyć się trzeba, i który właśnie z tego powodu wywołuje protest.

Zobaczmy więc czém jest jego ocena i o ile odpowiada zasadom krytyki, przez niego samego postawionym w innych pracach.

Na wstępie zaraz recenzent stawia pytanie, czém są właściwie *Listy* A. E. Odyńca? z kąd pochodzi rozgłos jaki zyskały? wrażenie, jakie sprawiły? Pytanie jest bardzo słuszne. Porównanie bowiem ogólnego zdania ze zdaniem opartém na podstawie krytycznej, jest jednym z atrybutów krytyka, a rozwiązanie tego zadania stanowi właśnie ocenę utworu. Jednak, zamiast szukać w wartości *Listów* przyczyny tego powodzenia, recenzent zaczyna wyliczać to wszystko, czego *Listy* nie obejmują. To co pisze w tym względzie p. Ch. stanowi zapewne programat rzeczy nader pięknych i nauczających, nikt temu nie zaprzeczy, i gdyby p. Ch. podróżował, zapewne sumiennie wypełniłby ten programat. Wszystko to jednak niema bezpośredniego związku z ocenianym utworem; boć niepodobna sprawiedliwie wymagać, by przed 50-ciu laty

A. E. Odyniec przeczył wieszczym duchem dzisiejsze wymagania krytyka i uczynił im zadość.

I tak, pan Ch. wymawia mu „że nie daje w swoich *Listach* poznać zagranicy z jakiejś nowój, nieznanój dotychczas strony; że nie przedstawił obrazu wspaniałego rozwoju ludów stojących na czele oświaty; że nie zwrócił uwagi na wytwory rolnictwa, przemysłu i handlu, o jakich kraj nasz niema pojęcia; że nie zastanowił się nad skarabami wiedzy, sztuki, i nie wykazał ich znaczenia ogólnie cywilizacyjnego“ i t. p.

Pytanie jednak, gdyby A. E. Odyniec był wypełnił ten schemat, a naturalnie wypełnił go wedle idei panujących przed pół wiekiem, i dał nam opis przed-półwiekowy krajów jakie zwiedzał, czém byłyby listy jego dla dzisiejszego pokolenia? czy miałyby tę świeżość i interes jaki zachowały? czy krytyk czytałby je kiedykolwiek i dawał ich ocenę? Listy te miałyby tylko archeologiczną wartość i spoczywałyby zapewne spokojnie w głębi jakiego familijnego archiwum.

Zadanie podróży, a zatem i *Listów* A. E. Odyńca, wypowiedziane wyraźnie we wstępie, było zupełnie inne. Miał on rozrywać, pielęgnować Mickiewicza i dać materyalną opiekę poecie, którego przyjaciele wysyłali zagranicę. Tym sposobem Mickiewicz jest głównym bohaterem opowiadania, jak to sam pan Ch. zauważył; on skupia wyłącznie uwagę autora *Listów*. Jakkolwiek A. E. O. sam jest ciągle na scenie, przecież stawia się tylko w świetle odbitem od ukochanego i wielbionego Adama.

Zarzut więc uczyniony na wstępie przez recenzenta, upada sam z siebie wskutek tego, że Odyniec trzyma się wiernie swego zadania, nie bacząc na postronne przedmioty, a choćby nawet spostrzeżenia o stanie ówczesnych społeczeństw i krajów istniały w jego *Listach*, mogły one bezpiecznie być wyrzucone przy ogłaszaniu drukiem, jako nie leżące w programie, jaki sobie autor nakreślił, i dziś mało zajmujące. Tym sposobem owe swobodne opowiadania z potocznego życia towarzyskiego kółka, którego słońcem był arcy-mistrz naszej poezji, zamiast przemijającego interesu chwili, mają interes nieprzemijenny i mieć go będą dopóki tylko w narodzie nie wygaśnie kult Mickiewicza.

Powtarzam tu z umysłu wyraz *kult*, ponieważ używa go pan Ch. charakteryzując towarzyskie stosunki obecne Nestora naszych poetów, jakkolwiek te nie mają żadnego związku z ocenianą przez niego książką. Jeśli jednak Odyniec zdołał wzbudzić go osobiście, to nic a nic nie przesądza ani wpływać może na zmniejszenie wartości jego *Listów*; a jeśli, jak to znowu twierdzi pan Ch., wzbudziła ten kult nie sama osoba szanownego autora, ale właśnie dzieło, któremu w krytyce swojej odmawia wszelkich zalet, to wbrew twierdzeniu temu, każdy nie uprzędzony widzieć w tém musi najlepszy dowód wartości książki, skoro ta wywołać mogła podobne następstwa.

Wprawdzie pan Ch. dowodzi, że autor był tutaj tylko zastępcą i pośrednikiem, że wielbiono w nim przyjaciela Mickiewicza. Ależ on sam temu bynajmniej nie przeczy, a czytelnicy oddając mu hołdy, mieli w myśli pamiętny wiersz z *Wallenroda*:

Świątym był na ziemi,  
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętami.

Pan Ch. gniewa się, iż w *Listach* nie odnajduje tego Adama, którego wyobraźnia rada odziewa promieniami chwały; utrzymuje, że Listy te pomniejszają go, „pokazują w szlafroku, że wielkość jego tylko przez szczelinę ujrzeć możemy.“

Wbrew recenzentowi śmiem twierdzić, że stanowi to właśnie jeden z uroków tych obrazów, skreślonych z taką prawdą, swobodą i talentem. Wielkość Mickiewicza widzimy w jego dziełach, znamy z głosnych wypadków życia; tutaj odnajdujemy właśnie to, co najtrudniej dla nas dopatrzeć, co w miarę oddalenia trudniejszym stawać się będzie—codziennego człowieka.

Pomimo wszystko co pisze pan Ch., nie przedstawia się Adam bynajmniej zmniejszonym, nie traci na tém bliższém przyjrzeniu. Przeciwnie, naturalność, brak jakiejbądź pretensyi, brak pozy, czyni go więcej jeszcze sympatycznym, jakbyśmy wdzięczni mu byli zato, że będąc tak wielkim, nie odziewa się płaszczem dumy, zarozumienia i niedostępności.

Jeśli w dziełach pokazuje się wielkość talentu, w prostocie codziennych stosunków pokazuje się wielkość charakteru.

Daléj twierdzi p. Chmielowski, że autor *Listów* nietylko daje nam zmniejszony obraz Mickiewicza, ale że inaczej ocenił go nie był zdolny i na mocy zestawionych nader złośliwie kilkunastu zdań, odsądza Odyńca od wszelkiego umysłowego rozwoju i daje tak niekorzystne o nim pojęcie, iż prawdziwie dziwić się trzeba, jak Mickiewicz mógł zostawać z upodobaniem lat tyle w tak niedobraném towarzystwie.

Pod tym względem nie pozwolę sobie nawet stanąć w obronie autora *Listów*. Najprzód, że on téj obrony wcale nie potrzebuje, a po wtóre, że zakrawałoby to na wybijanie drzwi otwartych. Zrobię tylko tę uwagę, że jeśli ze stanowiska prawnego najwyższy dowód stanowi własne wyznanie, to w świecie umysłowym dzieje się trochę inaczej, a słowa Odyńca dowodzą tylko figlarnego usposobienia oraz skromności i braku zarozumienia, dwu przymiotów, niestety, zbyt rzadkich dzisiaj nietylko w literackim świecie, ażeby nie oddać im należnego uznania.

Pan Chmielowski nietylko odsądza autora *Listów* od prawa rozumienia Mickiewicza, ale za jedném pociągnięciem pióra, odsądza od tego prawa i korespondentów jego: Ignacego Chodźkę i Juliana Korsaka, a to na mocy dzieł, jakie napisali a nawet nie napisali jeszcze, gdyż jak krytyk twierdzi o autorze *Obrazów Litewskich*, dopiero znacznie później talent jego się rozwinął, a w epoce, do której odnoszą się *Listy*, nie znać w Chodźce było oryginalności i dzielności, a w jego poglądach szerokości, gruntowności i głębi, a co do Korsaka „przekład *Boskiej Komedyi* Dantego stanowił niejako sumę jego duchowego życia.“

Otóż nie zdaje mi się sprawiedliwém sądzić umysłowość człowieka wedle dzieł samych. Są ludzie, którzy nigdy nic nie napisali lub

napisali rzeczy bardzo mierne, a pomimo to posiadali rozwiniętą inteligencyą, zdolną, jeśli nie tworzyć wielkie dzieła, to rozumieć je przynajmniej, a jak na korespondenta jestto zupełnie dostateczne. Nie mogę też zgodzić się z panem Chmielowskim i uważać ogromną pracę przekładu *Boskiej Komedyi* za nie nieznaczącą sumę umysłowości, ani też mieć za leniwy umysł, zdolny porwać się na podobne zadanie. Być może, iż przekład Korsaka nie jest arcydziełem; być może, iż talent poetyczny jego nie sprostał chęciom: nie mogę jednak podzielać lekceważenia, z jakim krytyk o nim wspomina.

Jak widzimy wszystkie dotychczasowe zdania recenzenta dążą do tego, by dowieść, iż uważa Odyńca i korespondentów jego za zupełnie niegodnych ocenienia i pojęcia Mickiewicza i przywodzą na myśl owo znane dobitne słowo Korzeniowskiego, wyrzeczone o krytyce Klaczki na jego dzieła.

Wziąwszy za podstawę swego dowodzenia wyżej wspomniane zestawienia rozmaitych zdań wyszukanych pracowicie w całych czterech tomach, wykłada pan Ch. przez A+B ze ścisłością formuły matematycznej, że Odyńiec pisze o Mickiewiczu nieprzymierzając, jak ślepy o kolorach.

„Dla takich umysłów nie mogła się otworzyć w całej pełni potężna dusza Mickiewicza, oni widzieli w niej tylko niektóre powierzchowne zazwyczaj, a co najwyższej sercowo-uczuciowe strony. Mickiewicz był świetnym zjawiskiem, które oczy ich a nawet serca pociągało ku sobie urokiem nieprzpartym, wpatrywali się w nie z zajęciem, z sympatją, każdy chcieli zauważyć szczegół, każdą grę światła, każde zaćmienie i rozjaśnienie, ale było ono zbyt wielkiem, zbyt rażącym, zbyt niepospolitem, ażeby mogło być zrozumianem przez samo wpatrywanie się okiem nie bardzo wprawnem...”

Takie jest jasno i wyraźnie wypowiedziane zdanie p. Chmielowskiego, które potwierdza cały wstęp do artykułu, gdzie nie pomija żadnej sposobności poniżenia autora *Listów*. Pomimo to jednak poświęca on większą część swojej pracy, rozbirowi i zbiciu rozmaitych zdań Mickiewicza, którego obraz wcale niekorzystny sam kreśli rozrzuconemi rysami.

Widzimy jak smutną rolę odegrał on, a co gorzej odegrał niedomyślając się tego na dworze starego Göthego w Wejmarze; dowiadujemy się, że „miał wstręt do ścisłego rozumowania,” że „sądził uczuciem i fantazyą a w dodatku taki sąd jedynie za mądry uważał,” że nienaukowym był pogląd jego na znaczenie dziejów i ich do poezyi stosunek i pełno podobnych. Co więcej, recenzent zbija te zdania nie jako zdania Odyńca, kładzione dowolnie w usta Mickiewicza, ale jako zdania, które za jego przynaję, jak np. w kwestyi o powołaniu i cechach autorstwa w ogólności, gdzie Odyńiec sam mówi, iż wiele na karb historyografa odtrącić należy, ale nie wszystko.

Wszakże jeśli istniała tak straszna dysproporcya pomiędzy obserwowanym a obserwatorem, niema wcale pola do polemiki, bo każdy

sąd wydany o pierwszym, na mocy sprawozdań drugiego, nie może mieć żadnego znaczenia, wszakże był on *zbyt wielkim, zbyt jasnym, zbyt rażącym* na jego oczy.

Z tego stanowiska wychodząc, cały długi ustęp, traktujący o Mickiewiczu i jego stanowisku względnie do kwestyi filozofii, sztuki, natchnienia, musi wydać się niesprawiedliwym, jeśli opiera się na świadectwie Odyńca, skoro p. Chmielowski odsądził tego zgóry od prawa świadectwa, a wreszcie sprzeczny z ustępem, przytoczonym wyżej i z admiracyjnym frazesem zakończającym artykuł.

Pisząc ten ustęp krytyczny wymierzony już nie przeciw autorowi *Listów*, ale przeciw arcy mistrzowi naszej poezyi, p. Chmielowski uległ panującemu prądowi naszej krytyki, która miarą dzisiejszych pojęć chce sądzić ludzi przeszłości i nie może im przebaczyć, że ich nie przeziali.

Jestto fakt tém dziwniejszy w pracy p. Chmielowskiego, iż zwykle w studyach swoich daje szerokie pole wpływom czasu, miejsca i otoczenia. Jakżeż więc żądać może by wyzwolił się z nich bohater *Listów* Odyńca, Mickiewicz, albo też sam Odyniec.

Być może, iż nastrój ówczesny Mickiewicza nie należał do najszcześniejszych, zaznacza to już sam recenzent z samej małej twórczości *jego*; poeta widocznie był rozproszony, a może też więcej chłonał w siebie niż wydawał. Winy jednak za to niepodobna zwać na jego historyografa, ani pomawiać ostatniego o niewierność.

Jakkolwiek wiele bardzo rozumowań ówczesnych Mickiewicza nie może trafić do naszego przekonania, jako należące stanowczo do przeszłości, przecież nie zawierają one nic, coby było dla nas dziwném. Przeciwnie, rozumowania te tworzą rodzaj wstępu do znacznie późniejszej mistycznej fazy, tłumaczą nam ją i rozjaśniają, świadcząc, że zarody ję tkwiły już w umyśle wielkiego poety.

Nie wchodzi bynajmniej w mój zakres sąd o stanowisku Mickiewicza w owęj epoce jego życia, co stanowiłoby zapewne nader zajmujący przedmiot do osobnego studyum, ani nawet ocena listów jego serdecznego przyjaciela. Uczyniło to już wiele piór zdolniejszych od mojego. Tém mniej też potrzebuje obrony: piękna, zajmująca i ważna praca nestora naszych poetów, skoro według wyrazów samego pana Chmielowskiego zyskała mu taką popularność, iż wyrobiła dla niego rodzaj kultu. Nie śmiem orzekać, jakie stanowisko zajmie ona w literaturze powszechniej, ale to pewna, że należy ona do rzędu tych, które w każdej domowej bibliotece polskiej znajdować się powinny. Jeśli Francya tak bogata pod względem literackim, uważa za jedno z arcydzieł swoich błahe listy pani de Sevigné, opisujące niemal jedynie dworskie intrygi lub skandale i plotki towarzyskie; to nie wiem z jakiego powodu nie mielibyśmy stokroć wyżej postawić pracy, rzucającej takie światło na stosunki prywatne i sercowe największych poetów naszych, a to tém bardziej, że treść łączy się z formą, będącą arcydziełem w swoim rodzaju.



Rzecz dziwna, recenzent tak się zajął psychiczną stroną utworu, że ani jednego słowa nie poświęca formie. A przecież w utworach tego rodzaju posiada ona wielkie znaczenie.

Forma *Listów* A. E. Odyńca jest doskonała przez to samo, że nie trzyma się żadnych reguł, które tutaj byłyby nie w miejscu; jest ona lekko prosta, swobodna, a pomimo to wykwiwna. Język jest pełen wielmożności, poezja zeszała do prozy i przywodzi na myśl lotną rusałkę, która przybrała postać powszednią, ale przez to nie straciła nic z potęgi i wdzięku.

Wprawdzie sam p. Chmielowski na końcu długiego artykułu przedstawwszy tak niekorzystnie Mickiewicza, mówi w kilku ostatnich wierszach, że to jest tylko jego powierzchowny obraz; w takim razie obraz ten jest o wiele zadługi lub zakrótki. Po tak szczegółowej naganie, zajmującej kilkanaście kart druku, nie wystarczy ogólnikowo rehabilitacja. Kategoryczne zarzuty wymagały też kategorycznej obrony lub zbiccia, zestawienie rozumowań, jakie autor *Listów* kładzie w usta Adama z innemi zbijającemi je lub ukazującemi i rozumowania i fakta w odmienném świetle. Ponieważ jednak frazes pochwalny na cześć Mickiewicza nie poparty jest niczem i przez to ma najzupełniej ogólnikową cechę, nie obala ani osłabia w czytelniku wrażenia całej poprzedniej krytyki.

#### PRZYPISEK RED. BIBL. WARSZAWSKIEJ.

Artykuł niniejszy *Biblioteka Warszawska* tём chętniej zamieszcza, że dotyczy on publikacji jednego z najdawniejszych członków jej redakcyi i współpracowników. Dodaje od siebie tę konieczną, zdaniem jój, uwagę, że na *Listy z podróży A. E. Odyńca* nie można zapatrywać się jako na dzieło literackie, w ścisłym i zwyczajnym tego słowa znaczeniu. W chwili bowiem kiedy były pisane, to jest lat temu około pięćdziesiąt, zamiar ogłoszenia ich drukiem nie istniał bynajmniej. Była to poprostu rozmowa dwudziestoletniego młodzieńca z rówieśnikami, której celu nie stanowiły regularne studia psychologiczne lub etnograficzne, ale raczej wiadomości o rzeczach pobocznych, o tём co się przypadkowo nawinie pod oczy, o wszystkim i o niczem, jak zwykle w korespondencyi prywatnej i poufnej. W pośród tej swobody i bez troskliwości, jaka cechuje wyznania młodzieży zostającej na wakacyach, pozostały wspomnienia żywo odtwarzające przeszłość dla nas z wielu względów interesującą, bo związaną z istnieniem człowieka głęboko wcielonego w naród, oraz z innymi ludźmi, którzy z pola prywatnego przeszli i stanęli na polu publicznym, jako świeczniki. Pozostały wreszcie w tych listach ślady rozlicznych stosunków, jakie wyrabiała się na tle czasu, do którego po półwieczu często zwracamy się dzisiaj, z ciekawością i tęsknotą i dlatego to ogół przyjął je z taką serdeczną sympatją: czemu z naszej strony nie dziwimy się wcale; z czego się, przeciwnie, mamy prawo radować. Stanowią one tedy rodzaj pamiętnika, w którym cenną jest treść, materyał, nawet forma, która, o ile piękna,

nigdy nie zawadzi, ale która stanowi tylko dodatek. Myślący człowiek na użytek swój wyciąga z nich fakta zaznaczone, człowiek czujący oddecha przy nich powietrzem tej przeszłości, która mu jest drogą jako jego własność, jako część tej istoty zbiorowej, którą stanowi naród. Krytyk-literat zdanie swe miarkować będzie uwagą, że listy te są odciskiem wrażeń nie przygotowanych na sąd ogółu, a jednak interesujących jako historia przeszłości przez żyjących świadków wypowiedziana. I tak snadź rozumiała to nawet prasa zagraniczna, która wyjątki tłómaczone z tych listów na język niemiecki, z żywem przyjęciem, w tém co dotyczyło szczegółów ówczesnego życia niemieckiego. Ogół nasz wyglądałby dziwnie, gdyby się dał pod tym względem uprzedzić obcym.



**F**

8429